ROZMAITOŚCI.

Dnia 21. Listopada. № 47. Roku 1855.

KILKA RYSÓW Z ŻYCIA
Południowéj Ameryki.

Z dziennika podróży młodego Anglika.

USTĘP II.

(Ob. N. 35. Rozmaitości.)

I. Nad del Norte.

Nim gwiazdy na niebie pobladły, siedzieliśmy już na koniach i postępowaliśmy zwolna drogą piaszczystą.

Niedaleko domu, droga skręcając się nagle, wpadła w las gęsty.

Na samym jéj zakręcie zatrzymałem konia, pozwoliłem się wyminąć moim towarzyszom, a wtedy stanąwszy w strzemionach spojźrzałem w tył. Oczy moje pobiegły ku starym, posiwiałym murom i spoczęły na *azotei* (terasie).

Na brzegu parapetu, słabo narysowany w bladém świetle zorzy, ujźrzałem przedmiot, którego szukałem. Nie mogłem rozpoznać rysów, ale poznałem cudowny owal jéj twarzyczki, niby czarny medalion odrzynający się na tle szarego nieba.

Stała obok jednéj z palm *yucca*, rosnących na terasie. Ręką wsparłszy się o pień, pochyliła się naprzód, chcąc przebić wzrokiem ciemności zalegające okolicę. — Może dostrzegła chustki powiewającéj w powietrzu; może usłyszała swoje imię i odpowiedziała na słodkie pożegnanie, które jéj zaniosło tchnienie poranku.... Jeżeli tak było, głos jéj zagłuszył tentent mojego konia, który zniecierpliwiony zwrócił się nagle w miejscu, i poniósł mię w las gęsty.

Kilka razy obejźrzałem się, chcąc jeszcze raz ujźrzeć ubóstwione rysy, ale domu znikąd już widać nie było, bo go zakryły wspaniałe a cieniste drzewa. Widziałem tylko jeszcze czas jakiś długie iglice palm *malowniczych*, a te wkrótce znikły z moich oczu, gdyż droga wbiegła między dwa pagórki.

Rzuciłem cugle, i puściwszy konia na wolą, pogrążyłem się w myślach, słodkich zarazem, i boleśnych.

Niedługo potém, ściągnąłem napowrót cugle i krótkim galopem dopędziłem moich towarzyszy. Droga szła wzdłuż rzéki, przecinała ją w kilku miejscach płytkiemi brodami, i biegła daléj wśród dolin, ocienionych gęstemi krzewami.

Pochód nasz utrudniały niezmiernie mnogie krzaki i zarośla, któreśmy co chwila spotykali, a chociaż drzewa popalono dawniéj dla utorowania drogi, jednak, gdyby nie ślady kopyt końskich, które od czasu spostrzedz można było, trudno byłoby przypuścić, że tędy mógł przedtém ktokolwiek się przedzierać. Kraj wydawał się pusty i niezamieszkały. Najlepszy dowód tego mieliśmy w tém, że daniele i antylopy ciągle przechodziły nam drogę, prawie po pod nosy naszym koniom. Od czasu do czasu droga odbiegała daleko od rzéki, dla uniknienia zbyt częstych jéj zakrętów. Niekiedy przebywaliśmy wielkie przestrzenie, na których drzewa były wykarczowane, i znać było ślady uprawy; — ale usiłowania te odnosiły się widocznie do bardzo odległéj epoki, bo ziemia poruszona niegdyś pługiem, pokryła się już była gęstém cierniskiem. Kilka pniów strzaskanych i rozsypujących się w próchno, kilka szczątków muru rozpadającego się w gruzy, oznaczały miejsca pobytu niegdyś ludzkiego.

Przejeżdżaliśmy obok kościoła rozpadłego w ruinę, którego stare wieżyczki roniły kamień po kamieniu. Na około wielką przestrzeń zalegały kupy gruzów. Wioska kwitnęła tu niegdyś. Cóż się z nią stało?.. Gdzie się podzieli jéj mieszkańcy?.. Dziki kot wyskoczył z pośród jeżyny porastającéj gruzy, i skrył się w lesie; — sowa wzleciała ciężko ze szczytu zniszczonéj kopułki, zakrążyła nam ponad głowami, i żałosnym krzykiem swoim dodawała jeszcze więcéj charakteru téj scenie zniszczenia. Gdyśmy przebywali te ruiny, cisza śmiertelna nas otoczyła, przerywana tylko hukaniem nocnego ptaka, i trzaskiem skorup z potłuczonych naczyń, którémi zasiane były opuszczone ulice, a które skrzypiały głucho pod kopytami naszych koni.

A gdzież się podzieli ci, których głosy odbijało niegdyś echo tych murów; którzy zginali kolana pod cieniem tego poświęcanego niegdyś sklepienia?.. Wynieśli się; ale dokąd, kiedy i dla czego?...

Zapytałem się właśnie temi słowy Seguina, który mi odpowiedział lakonicznie:

— Indianie!

Więc to było dzieło tych dzikich wojowników, ich straszliwéj włóczni, noża, którym nieprzyjaciołom zdejmują z czaszki skórę z włosami, — ich łuków i siekier, i strzał zatrutych i ognistych pocisków.

— Czy to byli Nawajowie? zapytałem.

— Nawajowie i Apachowie.

— A czy oni tu już teraz nie wracają?

Uczucie przestrachu błyskawicą przebiegło mój umysł. Byliśmy jeszcze tak blisko domu, i przyszły mi na myśl te mury bez obrony, i oczekiwałem odpowiedzi z niespokojnością.

— Nie, nie wracają.

— A dla czego?

— To jest nasze terrytoryum; odpowiedział tonem znaczącym. Jesteśmy w kraju, który zamieszkują dziwni mieszkańcy; obaczysz pan. Biada Apachowi albo Nawajowi, któryby śmiał wstąpić w te lasy.

W miarę jakeśmy się posuwali daléj, okolica stawała się otwartszą i ujźrze-

liśmy niebawem dwa łańcuchy wysokich wzgórzy, stromo uciętych, które się rozciągały na północ i południe po obu brzegach rzéki. Te wzgórza tak się zbliżały do siebie, że zdawało się iż zupełnie tamują bieg rzéki. Lecz było to tylko złudzenie. Zbliżywszy się więcéj, weszliśmy w jedno z tych straszliwych miejsc, które krajowcy nazywają *canons* (wymawia się *kanion*), a które tak często ujźrzéć można na mapach Ameryki międzyzwrotnikowéj.

Rzeka, przebiegając ten *kanion*, pieniła się między dwoma ogromnemi skałami, piętrzącemi się stromo, do wysokości przeszło tysiąca stóp. W miarę jakeśmy się do nich zbliżali, przybierały w naszych oczach kształty dwóch wściekłych olbrzymów, którzy rozdzieleni jakąś potężną siłą, grożą sobie ciągle nawzajem. Niepodobna było bez pewnego przestrachu patrzéć na wygładzone powierzchnie tych straszliwych skał, i uczułem mimowolny dreszcz przebiegający moje żyły, gdym wstąpił na próg téj bramy olbrzymiéj.

— Widzisz pan ten punkt? rzekł Seguin, pokazując mi skałę wiszącą na najwyższym szczycie nad tą przepaścią.

Skinąłem głową na znak iż widzę.

— Otóż-to ztamtąd miałeś pan ochotę skoczyć. Znaleźliśmy cię chwiejącego się na téj skale tam wysoko. *)

— Wielki Boże! zawołałem mierząc wzrokiem przerażającą wysokość.

Chociaż siedzę silnie na koniu, uczułem jednak zawrot głowy, i musiałem kilka kroków przejechać stępą.

— Gdyby nie pański szlachetny koń, mówił daléj Seguin, nasz towarzysz doktor byłby miał obszerne pole do gubienia się w hypotezach, egzaminując szczątki twoich kości. O! Moro! śliczny Moro!

I Seguin zbliżył się ku mnie, i głaskał szyję mojego konia, patrząc nań z zamiłowaniem.

— Ale, dla czego pan chciałeś tak koniecznie nabyć ode mnie mojego Moro? — rzekłem przypominając sobie okoliczności naszego piérwszego spotkania.

— Zwyczajnie — fantazya!

— Więc nie mogę wiedziéć?.. Zdaje mi się iż wtenczas mówiłeś mi pan, iż nie możesz mi tego powiedziéć.

— O! to już przeszło. Powiem panu kiedy chcesz. Oto chciałem próbować uwieźć moją córkę i dla tego potrzebowałem pańskiego konia. *)

— Jakto?

— Było to jeszcze piérwéj, nim się dowiedziałem o wyprawie naszych nieprzyjaciół. Ponieważ niemiałem już żadnéj nadziei odzyskania jéj inaczéj, chciałem udać się do ich kraju sam lub z przyjacielem, na którego mógłbym rachować, i wykraść ją podstępem. Ich konie są szybkie, ale nie mogą iść w za-

---

*) Autor niniejszego dziennika, na jakiś czas przed chwilą obecnego opowiadania, zabłąkał się był sam jeden śród pustyni bezwodnéj. Z pragnienia dostał okropnéj gorączki a w końcu rodzaju szaleństwa; tak iż posłyszawszy szum wody i ujźrzawszy rzékę, chciał się, jak to wiemy, rzucić do niéj z koniem, z takiéj wysokości. W takim stanie znalazła go ręka przyjaźna.

*) Seguinowi dzicy porwali byli córkę — ztąd on ciągłą z niemi prowadził wojnę dla jéj odzyskania — a sceny niniejsze wyjęte są z ostatniéj jego takiéj wyprawy.

wody z ąrabem, jak pan o tém będziesz miał sposobność przekonać się niebawem. Na takim tedy koniu jak Moro mógłem uciec, chyba żeby mię byli otoczyli; a i w takim razie, byłbym może potrafił im się wymknąć, kosztem kilku ran lekkich. — Miałem zamiar przebrać się, i wjechać do ich miasta, jako jeden z ich wojowników. Oddawna posiadam gruntownie ich język.

— To było niebezpieczne przedsięwzięcie.

— Zapewne! — ale to był mój ostatni środek, do którego się uciekłem, wyczerpawszy piérwéj wszystkie inne; po tylu latach oczekiwania, nie mogłem dłużéj wytrzymać. Ryzykowałem więc własne życie. Był to krok pełen rozpaczy, ale wtenczas byłem na wszystko zdeterminowany.

— Spodziewam się, że tą razą osiągniemy nareszcie cel pożądany.

— Ja jestem tego prawie pewny. Zdaje się, że Opatrzność stała się wreszcie na mnie łaskawszą. Z jednéj strony sprzyja mi nieobecność tych, którzy ją porwali; z drugiéj znakomite zwycięztwo, które wojsko moje odniosło nad znaczną częścią łupieżców równin wschodnich. *Niedźwiedzie skóry* upadły, i nieznaczą dziś nawet tyle, co pakuł do jednego naboju, — jak to oni mówią w swoim języku; — *Czerwone skóry* górą! Mam nadzieję, że tą razą skończę z niemi rachunek i mój skarb odbiorę.

Ostatnim słowom towarzyszyło głębokie westchnienie.

W téj chwili byliśmy u wejścia do wąwozu, a cień wielkiego drzewa bawełnianego zapraszał nas do spoczynku.

— Odetchnijmy tutaj przez chwilkę, rzekł Seguin. Zsiedliśmy z koni i powiązaliśmy je tak, aby się paść mogły. Sami usiedliśmy na gęstym trawniku, i dobyliśmy żywności, któremi byliśmy zaopatrzeni na drogę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ZAGRODA WIEJSKA.

Powiastka z piérwszych lat XIX wieku.

(Z Biblioteki Warszawskiéj.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 43. 44. 45. Rozmaitości.)

— „Gdzieżto Waść bywał?“ — stolnik zagadnie
Nibyto groźno.
A młodzian padnie
Do nóg jak długi, i nic nie rzecze,
Jeno po licu łza rzewna ciecze:
Bo się jak ognia lęka obrazy
Zacnego starca. Milszeby razy
Były mu pono, niż gniewne słowa,
Toż głowę w stryja kolana chowa
Ufny, że w końcu winę przebaczy.

— „Już jako żywo po siwéj klaczy —
Zagadnie stolnik: — pewno ochwatu
Się nie uchroni.“
— „Ej! daj ją katu
I siwą klaczkę“ — mruknie pod nosem
Poczciwy Wojciech; spojźrzy ukosem
To na stolnika, to na Marcina.
A stary znowu: — „Jakaż przyczyna,
Że Waszeć chyłkiem, jakoby złodziéj
Uciekasz z domu?“

— „Niech stryj dobrodziéj
Przebaczyć raczy, bo jako żywo,
Nic się nie stało złego ze siwą:
Zdrowa kobyłka istnie jak ryba."

— „Toż o złém Waszmość zamyślasz chyba,
Kiedy się kryjesz. Czemu nie było
Lepiéj powiedziéć, gdy się przyśniło
Waści czart wié gdzie leciéć i po co,
I późno do dom powracać nocą!
I gdzież-to Waści pędziło licho?"

— „Drogi stryjaszku!" — odrzecze cicho
Marcin nieboże; chce mówić daléj,
Ale mu trudno: rumieniec pali
Młodziana lica.

Aż Wojciech stary
Widząc, że młodzian trwożny bez miary;
Gdy biedakowi głosu niestało,
Chcąc go wybawić z kłopotu, śmiało
Zawoła: — „Czy to kryminał wielki,
Że mój paniczyk smalił cholewki
Do swéj bogdanki?"

Marcin by w łaźni
Cały skąpany; jakby się kaźni
Dopuścił jakiéj, nie odpowiada,
I tylko ręce z pokorą składa.

A stolnik znowu: — „Czy to się godzi?
Za moich czasów inaczéj młodzi
Czynili; dziś się wszystko zmieniło!
Czemuż się przyznać lepiéj nie było?"

— „Daruj stryjaszku, już wszystko będzie
Zadość twéj woli; lecz miéj na względzie,
Że to młodemu wytrwać nie snadno,
Kiedy się myśli w głowę zakradną,
I niby wirem, wśród rojeń tłumu
Plączą się, mącą, aż i rozumu
Pozbawią w końcu."

— „Ej! toć niewiasta
Wszystkiemu zawsze winna i basta" —
Zagadnie Wojciech.

— „I jam mospanie,
Miłował niegdyś poczciwą Franię —
Odpowié stolnik — toć ja téż szczerze
W gorący afekt Waszeci wierzę.
Ależ tak szaleć, to rzecz dziecinna!
Co biédna klaczka Waszeci winna?
Czemu ją pędzić przez pola, lasy?
Było powiedziéć, tożbym kolasy
Nie pożałował!"....

A na te słowa
Dziwnie zapłonie Marcina głowa
Z wielkiéj radości; i plackiem pada
Do nóg stryjowi.

— „No trudna rada,
Gdy takim serce Waści goreje
Strasznym afektem: niechże się dzieje
Wola wielkiego Pana na niebie!
Oj! ponoć was Bóg stworzył dla siebie,
Kiedy nas zawiódł przypadkiem w progi
Zacnéj niewiasty. — Cóż u niebogi
Słychać? Mów Wasze; czy aby zdrowa?"

— „Zdrowa zupełnie" — i na te słowa
Pociechą starca zabłysło oko:
Popatrzył w ogień, westchnął głęboko,
Jakby mu w duszy anioł wspomnienia
Przeleciał biały.

I wtém odmienia
Zwolna ton mowy: — „No! powstań Wasze —
Rzecze łagodnie. — Wojtusiu! kasze
Przynoś i zrazy; a po wieczerzy
Znów pogawędzim o wszystkiém szerzéj.
Przynieś téż z lochu butelkę wina:
Toć wypijemy zdrowie Marcina
I jego przyszłéj, byleby tylko
Co się nie stało z siwą kobyłką."

VII.

Szumi wichura, śnieg i zamiecie;
Ani gwiazdeczki na Bożym świecie
Dopatrzyć. Chłodno, straszno i ciemno:
Każdy rad nie rad, w duszy tajemną
Uczuwa trwogę.

Jedno gdzie błyska
W izbie ciepłego płomień ogniska;
Gdzie cicho, zgodnie, zdala od świata
Miłość rodzinna ogniwem splata

Serca; gdzie pokój napełnia duszę: —
Tam człek nie może upaść w otasze,
Tam mimo wichru, zamieci, słoty,
Powoli wątek wysnuwa złoty.

Święty płomyku! co podniecany
Ręką bez skazy, domowe ściany
Rozjaśniasz wdzięcznie! Świadku milczący
Wspólnéj miłości, modły gorącéj,
Pobożnych czynów, poczciwéj wiary;
Milczący świadku powieści staréj,
Co krążąc zwolna, cicho a stale
Wieków spowiada radość i żale,
Co na dnie mieści, cenniejszy złota
Skarb, bo odwieczną prawdę żywota:
Ogniu domowy! Tyś owym Żniczem,
Co niegdyś blaskiem lśnił tajemniczym
Na chwałę bóstwa: ty dziś pod strzechy
Ubogie, siejesz promień pociechy!
W mętnych dni pasmie, świeć wiecznie gwoli
Ludziom serc prostych, i dobréj woli!

W dworku stolnika, obok komina,
Siedzi pospołu cała rodzina.
Wojciech się krząta koło wieczerzy,
Bryś niecierpliwy opodal leży.
Płomień z komina jaskrawo błyska
Na białe ściany; koło ogniska
Najpiérwsze miejsce, matrona siwa
Zajmuje: włos jéj bieluchny spływa
Na blade czoło, a w ciemném oku
Już niedopatrzyć owego mroku,
Co je ćmił tęskny niedawnym czasem
A stolnik (słuckim okolon pasem,
W szarym kontuszu), z babunią gwarzy;
Radość niezwykła na starca twarzy,
A na pogodném czole otucha
Dziwnie jaśnieje!...

Babunia słucha
Dawnych powiastek, które jéj prawi
Poczciwy stolnik. Dziwnie ją bawi
Wszystko, co w ciągu lat przyjaciela
Zaszło dobrego: rada podziela
Każde wrażenie. Trapią ją znoje,
Jakie przecierpiał, gdy Barskie boje
Wspomina dawne; dziwnie ją boli
Pamięć starego cięźkiéj niedoli!

I stolnik niemniej nakłania ucha
Do jéj powieści. Ciekawie słucha
Jak mu spowiada tajniki duszy;
Czasem kontusza wylot poruszy,
I łza niekiedy z oka wypłynie,
Krąży po licu, i w wąsie ginie.
A jednak każde z nich rade gwarzy,
I rade słucha: — zwyczajnie starzy!

Marynia znowu szczebiocze zcicha
Coś do Marcina. On się uśmiecha,
I patrzy w krasne małżonki lica;
A takim blaskiem świeci źrenica
Obojga młodych, tak radzi z siebie,
Jak gdyby Boga widzieli w niebie!
Znać wszystkim dobrze. Płomień ogniska
Syczy, migocze, znów jaśniéj błyska,
I na pogodne blask rzuca czoła:
Jakoby skrzydło Stróża Anioła
Siejąc dokoła nadobne kwiaty,
Płoszyło troskę z cichéj komnaty.
Wieczór już późny; wtém słychać niby
Turkot w oddali: — „Gość bez ochyby" —
Ozwie się stolnik.

Bryś łapą skrobie
We drzwi komnaty.

— „Kto o téj dobie
Przyjeżdżać może" — Marcin zagada.
Marynia w duszy nie nazbyt rada!

— „Bóg w dom wraz z gościem, dobra nowina —
Zawoła stolnik. — Wojtusiu! wina
Przynoś z piwnicy. Czuwaj, by strawy
Nie brakło na stół, gdy gość łaskawy
Nie gardzi memi nizkiemi progi."

A gdy to mówi, zawraca z drogi
Wózek w podwórze. Stolnik z bratankiem
Na powitanie stają przed gankiem
Gość zsiada z wózka.

— „Wszelki duch Pana
Chwali! A toż to rzecz niesłychana!

Zkądże Waść tutaj?“ — stolnik zawoła,
A w podziwieniu rękę do czoła
Poniesie, jakby chciał spędzić czary;
Boć w żywy sposób nie daje wiary
Temu, co widzi.

— „Panie stolniku —
Rzecze przybyły — dziwy bez liku
Dzieją się teraz na Bożym świecie!“

— „Pójdź Wasze daléj, ogrzéj się przecie
Koło ogniska. Gadaj mospanie
Wszystko koleją.“

Przybyły, panie
Wita pokłonem; Marcina ściska,
Bo z nim zażyłość łączy go blizka.
Siedzielić oni na jednéj ławie
W pijarskich szkołach, lat cztéry prawie;
Potém przez drugie znów cztéry lata,
Młody Stanisław szukał wśród świata
Szczęścia i sławy; opuścił skrycie
Dom rodzicielski, i pędził życie
W ustawnych harcach. Był pod Marengo
Zkąd ozdobiony krzyżem i wstęgą,
Po długich wojnach, razem z wszystkiemi
Stanął szczęśliwy w ojczystéj ziemi.
Młodzian z Warszawy wybiegł co żywo,
By prędzéj matkę powitać siwą;
A gdy mu właśnie wypadła droga,
Umyślił chwilkę stanąć u proga
Zacnego starca, by mu pod strzechę
Radosną także przynieść pociechę.
Stanisław z dziwnym prawi zapałem
O wielkich dziełach, co światem całym
Wstrząsły obecnie z końcem do końca;
O bohaterze, co blaskiem słońca
Lśni nad nowego wieku kołyską;
Co wraz z kul gradem, światła ognisko
Sieje na krańce znanego świata;
Co jak wichura groźna przelata
Z zachodu na wschód, rzucając gromy,
A dzielną myślą chłonąc ogromy
Przestrzeni, ludów, pod własne stopy
Ściele podnoże z pół Europy,
By wsparty na niém przez czas daleki,
Siłą gieniuszu zdumiewał wieki!

Stolnik młodziana ciekawie słucha.
Dziwny mu ogień tli w głębi ducha,
I na rumiane wybija lice;
I mimowoli zwraca źrzenice
Nad łoże, kędy w jaszczur oprawna,
W pochwie szablica spoczywa dawna.
A kiedy zdała okiem nań strzeli,
Zda się, że słyszy szczęk karabeli:
Rwie się na nogi z młodzieńczą siłą,
Jakby lat dziesięć z górą ubyło,
Podrzuci wylot, zakręci wąsa,
Na podstolinę spojźrzy z ukosa;
Aż gdy spostrzeże zwiędłe oblicze,
Jak sen marzenie pierzcha zwodnicze!...
I czuję z bolem: toż on nie dziarski
Młodzian, co niegdyś w potrzebie Barskiéj
Harcował dzielnie w boju zażartym;
Lecz starzec słaby, co nad otwartym
Stoi grobowcem..... I głową wzruszy,
I dziwna walka powstaje w duszy
Z siłą zgrzybiałą, młodzieńczéj woli;
A gdy łza płynie z oka powoli,
Starzec wylotem wnet ją ociera.

W oku Marcina otucha szczera
Równie jaśnieje, a w duszy głębi
Zrodzona troska dziwnie ją gnębi;
I gdy na ścianę spojźrzy z nienacka
Zda się, że widzi oblicze Jacka
Sroższe niż zwykle. Zakipi w łonie
Krew młoda, ledwie nie pęka skronie
Od bicia pulsu; lecz gdy Marynię
Obejmie okiem, łza cicha spłynie
Po zbladłém licu.

A i niebogi
Serce téż pełne nieznanéj trwogi.
Tęskno babunia pogląda siwa
W jasne ognisko, a głową kiwa,
I myśli w duszy: oj! biédne dziécię,
Nie ma to stałéj doli na świecie!...
Każdyć kosztuje, młody czy stary,
Kropli goryczy z żywota czary!...
Dają wieczerzę. Pucharem wina
Stolnik rozliczne wiwaty wszczyna,
Zachodzi bryka: młodzian co żywo
Pędzi powitać matkę sędziwą.

Rodzina społem znów u ogniska
Zasiada, słabo płomień połyska!
Gdy żadna ręka go nie podsyca
Gaśnie powoli. Wkoło na lica
Zwolna się pomrok rozściela blady,
Kryjąc i smutku, i szczęścia ślady.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

SAMARYTANIE.

Jeszcze są Samarytanie, nie ci o których Zbawiciel w przysłowiu powiedział, ale istotni, rzeczywiści potomkowie owych, co swoje ofiary na górze Garicim palili, i jeszcze palą. Dziś dwóch wysłańców tego rodu przybyło do Londynu szukać wsparcia u pobratymczych Samarytanom Żydów, jak twierdzą, w obawie ażeby ród ich nie zaginął na wieki, i wyznanie religijne nie zgasło po zgonie ich Arcykapłana, ostatniego z plemienia Lewitów. — Czyli to wsparcie ma nadtroczyć plemienia Lewitów, tego nie pojmujemy; ale nas zastanawia ta zawiędłość szczepu, że się dwadzieścia ośm wieków umiał utrzymać, w obec tylu i tylu najeźdźców i prześladowców ich ziemi i rodu, Assyrów, Persów, Greków, Żydów, Rzymian, Arabów, a nie przepuszczali im i Krzyżacy. Samarytanie zawsze ulegli, a może właśnie iż giętcy jak trzcina przetrwali burze, zachowali religię swoją, swój język, i święte pisma swoje. Liczą się na familie, wymieniają ich trzydzieści, w ogóle dusz około dwiesta. Mieszkają w Napluzie jak dziś stary Sichem się zowie, i w Jaffie. W właściwém Sichem, czyli Napluzie, od Jerozolimy mil ze czterdzieści, zasiedli ulicę „Halkat assade“ także „Assamaradzie“, gdzie i przodek ich, patryarcha Jakób miał siedzieć. Noszą się z turecka; czapka czerwona owita w turban biały, tak że tło czerwone z przodu wygląda. We dnie świąteczne zarzucają ubior biały, koszulę śmiertelną, jak nasi Żydzi. Wywodzą imię swoje Samarytani od słowa „Szamar“, co znaczy „zachowywać“, gdyż się mienią obserwantami i strażnikami przykazań Mojżeszowych. Jego też księgi przechowują w szczerocie pierwotnéj, i pismem wcale odmienném.

Muzycy.

Muzycy miewają osobliwsze dziwactwa, pozbierał je jeden z dzienników paryskich, z niego podajemy niektóre szczegóły. *Auber* prócz w Paryżu w żadném mieście dwa dni wytrzymać nie może. *Adam* brzydzi się pięknemi drzewami i lasów nie cierpi. *Donizetti* zasypiał byle siadł do powozu i ani spojrzał na naturę. *Paer* kochał się w żartach; gdy pisał operę, musieli go otaczać ażeby z nim żartować, a w ciągu łajał dzieci i kłucił się ze służącymi. *Cimarosa* otaczał się amatorami sztuk nadobnych, i kiedy pisał, oni o swojém rozprawiali. *Sacchini* tracił wątek myśli, kiedy mu koty na stole nie siedziały. *Sarti* komponował tylko w ciemnym pokoju, z-pod sufitu błyszczało tylko mdłe światełko lampy. Także *Spontini* szukał zacienia. *Salieri* nabierał ducha kompozycyi, kiedy się zbiegał po najludniejszych ulicach i cukierków najadł. *Haydn* zasiadał w krzesło i wznosił oko pod powałę, i ztamtąd wyglądał natchnienia. *Gluck* siadał na słońcu, parę butelek szampańskiego przy sobie, i wyrabiał różne migi jak aktor. *Händel* chodził na cmentarz, i szukał zakątka po kościołach, gdy miał co pisać. *Paesiello* leżał w łóżku. *Méhul* kochał się w kwiatach, i zatapiał patrząc w różę. *Mozart* czytał Homera, Danta lub Petrarkę, albo też zgrał się w bilar, nim się kompozycyą zajął. *Verdi* przysposobia się podobnie do swoich kompozycyi czytaniem dram Shakespeara, Goethego, Schillera, Wiktora Hugo lub Ossyana.

Chleb z ryżu. Półtora funta ryżu gotować w trzech kwartach wody przy wolnym ogniu przez godzin pięć, potém wymisić go na ciasto, dodając póki ciepły cztery funty pszennéj mąki i zwyczajną ilość kwaśnego ciasta jak na rozczyn. Niech trochę postoi w cieple, można niedaleko od ognia, i wyrabiać potém bocheneczki, które wypieczone dadzą dwadzieścia do trzydziestu funtów bardzo przedniego chleba.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.**

Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.